



ŚWIAT dzieci

DODATEK TYGODNIOWY GŁOSU LUDU

ALEKSANDER JURKOWSKI

HISTORIA KSIĄŻKI



Dawda, jak przyjemnie czytać książki? Wiesz sobie do biblioteki, wybierasz książkę, jaka ci się podoba, chowasz ją do teczki lub tornistra i wracasz do domu. Książkę rozkładasz na stole i czytasz, póki mama nie zapędzi spać lub do odrabiania lekcji.

Ale wiesz przecież, że książka nie zawsze tak wyglądała jak teraz. Nie zawsze była taka mała i lekka, że można ją zabrać wszędzie z sobą i nosić bez zmęczenia. Przede wszystkim dawniej ludzie nie mieli papieru, ani nie umieli drukować. A pisać chcieli. Jakżeż tu jednak pisać bez papieru? A no radzili sobie ludziska jak mogli. Jedni tak, drudzy inaczej. Jedni układali na ziemi kolorowe kamyczki, lub na pniach drzew wycinali rysunki. To było pierwsze pismo. Ot np.: Taki nasz praprapradziadek chciał swego znajomego ostrzec, że w tej części lasu są dzikie niebezpieczne zwierzęta. Cóż było robić. Wycinał na korze drzewa tygrysa lub dziką i przyjaciel już wiedział, że tędy chodzić nie można. No ale to jeszcze nie było pismo. To tylko takie początki. Potem

ludzie nauczyli się rysować różne znaki i każdy taki znak miał swoje znaczenie. Tak pisali starożytni egipcjanie. Pisali czarną farbą na zwojach papyrusa (papyrus jest to roślina rosnąca nad rzeką Nil a na jej liściach pisano). Pismo to nazywało się — hieroglify. A książka wyglądała jak rulon papieru, bo nie przewracało się w niej kartek, lecz rozwijało się cała. Dobrze, ale co mieli robić ludzie, w których kraju nie było papyrusów? Też sobie jakoś radzili. Starożytni Assyryjczycy np. pisali na cegielkach. Na kamiennych cegielkach ryl! rylcami litery. Wyobraźcie sobie jak wyglądała taka biblioteka? Jak jakiś olbrzymi mur. A każda książka to też niezliczona ilość takich cegiełek. No, ale książek było wtedy mało. Mieli je tylko królowie.

A niektórzy radzili sobie w ten sposób, że wiązali na sznurkach węzłki. Z długości sznurka, z ilości i rozmieszczenia węzłków odczytywali treść. Dziwne nam się to trochę wydaje — czytać ze sznurków i węzłków — ale jednak tak również porozumiewano się i pismo to nawet nosi nazwę pisma węzłkowego.

Was jednak chyba bardziej obchodzi książka taka, jaka jest dzisiaj, przynajmniej choć trochę do niej podobna, a więc dobrze, pomówimy o tym.

Z czasem ludzie zaczęli pisać na skórach oślich specjalnie wyprawianych. To już przy pominaniu trochę papier. Taka skóra wprawdzie była gruba ale biała i gładka. Nazywała się pergamin. Na tym pergaminie ludzie uczeni latami całymi a nieraz i całe życie przepisywali książki. Przepisywali gęsiami piórami (innych piór wtedy również jeszcze nie było). Ozdabiali te książki misternymi rysunkami złotą i czerwoną szafirową lub inną farbą malowanymi. Ładnie wyglądała taka książka. Ale też było ich mało. Pomyśl nie tylko ile to roboty przepisać całą książkę. Wam nieraz nie chce się jednej stronicy przepisać, a tu aż całą książkę! I to nie jedną! Książek więc było wtedy też mało. Mieli je wielcy książęta, ludzie bardzo bogaci, a inni nawet ich nie oglądali.

Dopiero gdy wynaleziono druk, można było książki wydawać w większych ilościach. A druk wynaleziono bardzo, bardzo dawno w Chinach. Początkowo były to deseczki z wrytym na nich tekstem, który można było odbijać. W roku 1041 (a więc też, jak widzicie, bardzo dawno) pierwszy kowal w Chinach, Pi Szen, wynalazł czcionki ruchome. Ale u nas w Europie w tym czasie ciągle jeszcze pisano gęsiami piórami na pergaminie. Druk w

Europie wynaleziono dopiero w XV wieku i wtedy książka z pałaców wielkich książąt rozeszła się po świecie, choć ciągle jeszcze była bardzo droga. I druk nie był jeszcze taki ładny i równy jak teraz. W każdym razie można już było przedrukowywać książki.

Przez długie, długie lata udoskonalano druk, aż wreszcie teraz można już w ciągu jednego dnia drukować tysiące książek. Jak się drukuje o tym powinniście wiedzieć, bo już kiedyś pisaliśmy wam.

A teraz jednak ciągle jeszcze brak książek. Wiecie sami jak nieraz trudno znaleźć książkę, którą pani kazała przeczytać, wiecie, jak trudno nawet o podręcznik. Ale przecież nie ma się czemu dziwić. Spłonęła cała Warszawa, razem z cennymi bibliotekami i księgarniami, spłonęło tyle, tyle miast... A prócz tego Niemcy naumyślnie palili nasze książki, chcąc zatrzeć ślad polskiej kultury. I teraz tak jak domy, musimy odbudowywać i książki. Musimy je na nowo drukować, musimy ich drukować dużo, żeby dla wszystkich wystarczyło. I wydrukujemy i wystarczy. A może ktoś z was chce być, gdy dorośnie, drukarzem? Albo wydawcą? Albo bibliotekarzem? Albo może pisarzem? Napiszcie do nas o tym.



R. KIPLING

Jak został napisany pierwszy list

Od dawna już zamierzehly te czasy, gdy żył pewien człowiek z epoki kamiennej. Był człowiekiem pierwotnym, żył jaskiniowo w jaskini, miał na sobie nader mało odzienia i nie umiał czytać i nie umiał pisać i nie miał też do tego ochoty, a gdy nie był głodny, bywał ogromnie zadowolony.

Zwał się Tegumai. A żona jego zwała się Teszumai.

A imię ich maleńkiej córeczki było Taffimai, a to znaczy: mała, a bardzo źle wychowana osóбка, która nie może się obejść bez klapsów. Ale ja ją będę zwał Taffy.

Skoro tylko Taffy nauczyła się biegać, chodziła wszędzie, dokąd szedł jej tatko i nieraz tylko wtedy przychodzili do jaskini, gdy byli głodni.

A teraz posłuchaj i uważaj pilnie:

Pewnego dnia poszedł Tegumai przez bagno bobrowe ku rzece Wagai, aby ościeniem nałowić ryb na obiad, a Taffy poszła z nim.

Oścień Tegumai był zrobiony z drzewa i miał na końcu ząb wilka morskiego. Lecz zanim jeszcze zdolał złowić pierwszą rybę, już oścień złamał się przez pół, gdyż za mocno uderzał nim w dno rzeki.

— Tu roi się od ryb! — rzekł Tegumai. — Uptynie jednak pół dnia, zanim oścień naprawię.

— Twoja wielka, czarna włócznia jest w domu — odezwała się Taffy. — Pozwól mi pobiec do jaskini i powiedzieć mamie, żeby mi ją dała.

— To za daleko na twoje małe, tłuste nóżki — odparł Tegumai. — Mogłabyś wpaść do bagna bobrowego i utopić się. Musimy na miejscu temu zaradzić.

Usiadł i wyjął mały skórzany woreczek, w którym znajdowały się ścięgnięta renie, kawałki skóry, oraz grudki wosku, i jął naprawić swój oścień.

Właśnie w tej chwili przechodził brzegiem rzeki jakiś obcy człowiek. Pochodził on atoli z dalekiego plemienia Tewarów, i nie rozumiał ani w żąb języka Tegumaiów. Stał na brzegu i uśmiechał się do Taffy, miał bowiem także małą córeczkę, dziewczynkę w swoim domu.

— Chodź-no tutaj — rzekła Taffy. — Czy wiesz, gdzie mieszka moja mama?

A obcy człowiek odezwał się — Um!

— Głuptas! — rzekła Taffy i tupnęła nóżką, ujrzała bowiem gromadkę bardzo tłustych karpów, mijających ich właśnie wtedy, gdy jej tatko nie mógł użyć swego ościenia.

— Nie naprzykrzaj się ludziom dorosłym — przemówił Tegumai, a był tak bardzo zajęty swą łataniną, iż nawet się nie obejrzał.

Obcy człowiek usiadł na murawie, zaś Taffy pokazywała mu, co jej tatko robi.

Obcy człowiek tak sobie myślał:

— To osobliwe dziecko. Tupie nóżką i stroi do mnie minki. Pewno jest córką tego szlachetnego wodza, który jest tak wielkim panem, iż wcale na mnie nie zważa.

I uśmiechnął się jeszcze grzeczniej, niż poprzednio.

— Posłuchaj — odezwała się Taffy. — Chcę, abys poszedł do mojej mamy, bo

twoje nogi są dłuższe od moich i nie wpadniesz do bagna bobrowego, i żebyś poprosił o drugą włócznię tatki — tę, co ma czarną rękojeść i wisi nad naszym ogniskiem.

Obcy człowiek pomyślał sobie:

— To jakieś bardzo, a bardzo osobliwe dziecko. Wywija rękami i krzyczy do mnie, a ja nie rozumiem ani słowa z tego, co powiada.

Powstał, wykroił wielki, płaski kawałek kory brzozonej i wręczył go Taffy. Uczynił to — kochanie — aby okazać, iż jego serce jest tak białe, jak kora brzozonej, i że nie złego nie zamierza.



Wszelako Taffy nie zrozumiała go właściwie.

— Oh! — zawołała — teraz rozumiem. Chodzi ci o dokładny adres mamy? Ja, wprawdzie, nie umiem pisać, ale umiem malować obrazki, gdy mam jaki kończasty przedmiot do kreślenia. Proszę cię, pożycz mi swego naszyjnika węza wilka morskiego.

Obcy człowiek myślał sobie:

— To bardzo, a bardzo osobliwe dziecko.

I dał Taffy ząb wilka morskiego, a ona położyła się na ziemi i, wymachując nóżkami w powietrzu, rzekła:

— Namaluję ci teraz przesłizne obrazki. Możesz przypatrywać się spoza mego ramienia, ale uważaj abys mnie nie potracił. Najpierw namaluję tatkę, jak łowi ryby. Nie jest bardzo podobny, ale mama pozna go, bo obok niego namalowałam złamany oścień. A teraz namaluję drugi oścień, który mu jest potrzebny, ten z czarną rękojeścią. Wygląda jakgdyby tkwił w grzbiecie tatki, ale to pochodzi stąd, że mi ząb wilka morskiego się pośliznął, a kawałek kory nie jest odpowiednio duży. To jest włócznia którą masz przynieść. A teraz namaluję obrazek, na którym ja tobie to wszystko tłumaczę. Moje włosy nie sterza tak w górę, jak namalowałam, ale w ten sposób łatwiej je namalować. A teraz namaluję ciebie. Zdaje mi się, że jesteś jak żywy, lecz nie mogłam na obrazku uczynić cię ładnym. Proszę cię, nie obrażaj się na mnie. Czy się nie obraziłeś?

Obcy człowiek uśmiechnął się i pomyślał:

— Pewno gdzieś zanesi się na wielką bitwę.

— Popatrz! — rzekła Taffy, która malowała nader gorliwie, a przy tym troszkę

bazgrała. — To jesteś ty; włócznię, która tacie jest potrzebna, trzymasz w ręce, abys pamiętał, że masz ją przynieść. A teraz opowiem ci dokładnie, jaki jest adres mojej mamy. Będziesz szedł dopóty, aż przyjdiesz do dwu drzew (to są drzewa), a potem pójdziesz przez pagórek (to jest pagórek), a potem przyjdiesz do bagna bobrowego, na którym jest bardzo dużo bobrów. Namalowałam tylko ich głowy, bo zresztą idąc przez bagno, także nie więcej nie zobaczysz. Uważaj, abys nie wpadł do niego! Nasza jaskinia jest już za bagnem bobrowym. Nie jest taka wysoka jak pagórek, doprawdy nie; ale ja nie umiem malować rzeczy drobniutko. Przed jaskinią stoi moja mama. Jest bardzo ładna. Jest najładniejsza ze wszystkich mam na świecie; więc się nie pogniwa, że ją tak brzydko namalowałam. Pewno się ucieszysz, że umiem malować. Włócznię namalowałam przed jaskinią, abys o niej nie zapomnieli. Ale ona jest w jaskini; a gdy mamie pokażesz ten obrazek, to ci ją da. Namalowałam mamę z rękami do góry, bo wiem że się ucieszysz, gdy cię zobaczy. Czy to nie ładny obrazek? I czy wszystko zrozumiałeś? A może ci jeszcze raz wszystko objaśnię?

Obcy człowiek spojrział na obrazek i skinąwszy bardzo poważnie głową, rzekł do siebie samego:

— Jeśli nie przywołam plemienia tego szlachetnego wodza, to zginie on z rąk swych nieprzyjaciół, zbliżających się zewsząd z włóczniami.

I nie zapytawszy nawet Taffy o drogę, pomknął, jak wiatr, przez zarośla, z korą brzozoną w ręku, a Taffy, ogromnie zadowolona, usiadła na murawie.

Obcy człowiek mknął z obrazkiem i, ubiegłszy mil kilka, spotkał zupełnie przypadkowo Teszumai Tewindrow, stojącą przed drzwiami jaskini wraz z kilkoma innymi przedpotopowymi damami.

Taffy była bardzo podobna do Teszumai, szczególnie z oczu i górnej części twarzy, toteż obcy człowiek uśmiechnął się grzecznie i wręczył Teszumai kora brzozonej.

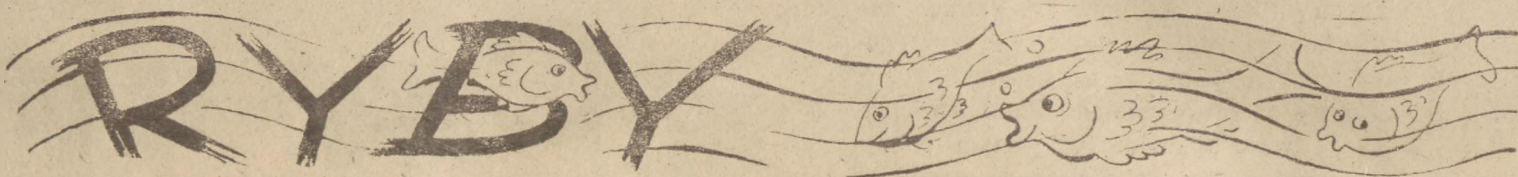
Teszumai, spojrzawszy na obrazek, wrzasnęła wniebogłosy i rzuciła się na obcego człowieka.

— To takie jasne, jak nos na twarzy tego obcego człowieka — rzekła. — Naszpikował mego Tegumai na całym ciebie włóczniami, a biedną Taffy tak bardzo przestraszył, że wszystkie włosy stanęły jej na głowie. I nie dość na tym, przynosi mi ten okropny obrazek, na którym widać, jak się to wszystko stało. Popatrzcie!

I pokazała obrazek wszystkim przedpotopowym damom.

— Oto mój Tegumai z odłamym ramieniem; tu tkwi włócznia w jego grzbiecie; tu jest człowiek, ciskający właśnie włócznią; tu stoi inny człowiek, rzucający włócznią z jaskini, a tu cała zgraja ludu (w rzeczywistości były to obry Taffy, ale wyglądały jak ludzie) śmiejąca się Tegumai. Czy to nie obrażające?

(Ciąg dalszy obok)



Leszcz za wasy sumą szarpie:

— „A to śmiałość“ — rzekły karpie.

— „Karpie dobre są, lecz w sosie!“

Odezwały się lososie.

— „Głupie żarty!“ — rzekła flądra.

— „Patrzcie, flądra jaka mądra“,

— „Skąd do flądry rozum taki?“

Obruszyły się szczupaki.

— „Cóż za dziwne obyczaje“,

Mruknął sandacz. Więc sandacza

Zbeształ okoń. — „Pan uwłacza

Mnie i całej mej rodzinie,

Niech pan od nas precz odpłyńcie.“

Rzekły śledzie: — „Ryby rzeczne

Są zazwyczaj niedorzeczne“

— „Każda woda im za słodka“

Przygadła śledziom plotka.

Karaś milczał. Tylko kılka

Jeszcze słów rzuciła kılka,

A sardynki z tej rozmowy

Potrąciły całkiem głowy.



JAN BRZECHWA

— Ogromnie oburzające — rzekły przedpotopowe damy i miały błotem we włosy obcego człowieka (co go bardzo dziwiło) i jęły walić w grzmiący bęben plemienia, i zwołały bębnieniem wszystkich naczelników plemienia Tegumaiów: zbiegli się także wróżbici, bonzowie i inni, i uradzili, że obcy człowiek, zanim mu utną głowę, musi ich zaprowadzić nad rzekę i pokazać, gdzie ukrył biedną Taffy.

Ale wtedy obcy człowiek rozgniewał się troszeczkę.

Mimo to nie rzekł ani słowa, dopóki nie zebrało się całe plemię Tegumaiów. Wówczas wstał i zaprowadził wszystkich na brzeg rzeki Wagai.

— Załatwiłeś się szybko — rzekła Taffy do obcego człowieka. — Ale dlaczego sprowadziłeś tylu ludzi? Przodem kroczyła Teszumai Tewindrow z przedpotopowymi damami, dzierżącymi mocno obcego człowieka, który miał we włosach mnóstwo błota. Za nimi szedł wódz naczelnny, zastępca wodza, wódz polowy i wódz pomocnik (wszyscy zbrojni od stóp do głowy), dalej hetmani, setnicy, plutonowi ze swymi plutonami, porucznicy ze swymi oddziałami, również uzbrojeni od stóp do głowy. Za nimi postępowało całe plemię. Zebrał się wszyscy z wielką paradą i krzykiem i wypłoszyli wszystkie ryby na dwadzieścia mil dokoła, za co Tegumai dziękował im potoczystym, przedpotopowym przemówieniem.

A Taffy rzekła:

— Jak widzę, nie przynieśliście nawet ojezulkowi włóczni z czarną ręką. Ale co wy robicie temu miłemu obcemu człowiekowi?

Bili go bowiem po dwu, po trzech, po dziesięciu naraz, aż mu oczy z głowy wyłaziły. Ledwo już dyszał, ale ciągle wskazywał na Taffy.

— Gdzie ten niegodziwy kłd, co cię na-

szpikował włóczniami, mój kochany? — spytała Teszumai męża.

— Nie było tu żadnej żywej duszy — odparł Tegumai. — Moim jedynym dzisiejszym gościem był ten biedak, którego, jak się zdaje, chcecie zadławić. Czyście powariowali, o, plemię Tegumaiów?

— Przyszedł z okropnym obrazkiem — rzekł wódz naczelnny — obrazkiem, który przedstawiał ciebie naszpikowanego włóczniami na całym ciele.

— No-oo, to ja ten obrazek wam wytłumaczę — odezwała się Taffy, ale zrobiło się jej nieco nieswojo.

— Ty? — wrzasnęło naraz całe plemię Tegumaiów. — Ty, mała, lecz bardzo źle wychowana osóbkko, która nie możesz obejść się bez klapsów? Ty?

— Wytłumacz, wytłumacz, wytłumacz! — zawołał wódz naczelnny plemienia Tegumaiów i jął skakać dokoła na jednej nodze.

— Chciałam, aby obcy człowiek przyniósł włócznię ojezulkowi — odezwała się Taffy — więc ją namalowałam. To nie było mnóstwo włóczni. To była tylko jedna włócznia. Namalowałam ją dla pewności trzy razy. To nie moja wina, że wyglądała tak, jakby tkwiła w głowie ojezulka; za mało miałam miejsca na korze brzozy. A istoty, które mama nazywała niegodziwym ludem, to są moje bobry. Namalowałam je, aby znalazł ścieżkę, wiodącą przez bagno, i namalowałam przed jaskinią moją mamę, ogromnie ucieszoną, bo ten obcy człowiek jest bardzo miły, a ja myślę, że jesteście najgłupszym ludem na świecie — rzekła Taffy. To bardzo grzeczny człowiek. Dlaczego pomazaliście mu włosy błotem? Umyjcie go!

Nikt zrazu nie rzekł ani słowa, aż w końcu wódz naczelnny wybuchnął śmiechem; potem zaśmiał się obcy człowiek, potem zaniósł się śmiechem Tegumai, który upadł jak długi na ziemię; potem jesz-

cze mocniej i jeszcze wścieklej i jeszcze głośnie ryknęło śmiechem całe plemię.

Następnie wódz naczelnny plemienia Tegumaiów jął wołać i śpiewać, i mówić: — O, mała osóbkko, nie mogąca obejść się bez klapsów, dokonałaś wielkiego wynalazku!

— Wcale tego nie chciałam — rzekła Taffy — chciałam tylko włóczni z czarną ręką.

— Mniejsza o to, dokonałaś wielkiego wynalazku, który pewnego dnia nazwą ludzie pisaniem. Teraz są to tylko obrazki, a obrazki, jak to dzisiaj widziliśmy, nie zawsze bywają właściwie rozumiane. Ale przyjdzie czas, o dziecię Tegumai, gdy wynajdziemy litery — całych dwadzieścia cztery liler — i gdy będziemy mogli czytać i pisać.

— To mnie cieszy — rzekła Taffy. — Atoli patrzcie! znieśliście włócznie całego plemienia, a jednak zapomnieliście o włóczni mojego ojezulka, włóczni z czarną ręką.

Wtedy wódz naczelnny ozwał się, zaśpiewał i przemówił:

— Taffy, kochanie ty moje, na przyszłość, gdy napiszesz list obrazkowy, wyślij go raczej przez człowieka, który mówi naszym językiem, aby objaśnił, co ten list oznacza. Dla mnie to niepotrzebne, bo jestem wodzem naczelnym; ale przyda się reszcie plemienia Tegumaiów, a także nie wyrządzi niespodzianki żadnemu cudzoziemcowi.

Wreszcie przyjęli obcego człowieka do plemienia Tegumaiów, bo był człowiekiem bardzo dobrze wychowanym i nie narobił hałasu z powodu błota, którym przedpotopowe damy umazały jego włosy. Ale od tego czasu po dziś dzień (jak mi się zdaje jest to wina Taffy) bardzo niewiele małych dziewczątek uczy się chętnie czytać i pisać. Większa ich część woli malować obrazki lub bawić się ze swoim tatusem, zupełnie jak Taffy. —

STANISŁAW NOWINA

CZY UMIESZ CZYTAĆ

Myszę, Hanecko, że jeszcze dobrze czytać książki nie umiesz. Patrząc codziennie na twoje czytanie, — i przypominam mi się, jak to ja uczyłem się czytać. Też nie od razu umiałem. Pamiętam, jakby to wczoraj było: w jednym pokoju pracował ojciec, w drugim ja czytałem. Tom pierwszy wielkiej powieści. Sam wzięłem ją z szafy, bo chciałem koniecznie coś grubszego przeczytać. Czytałem już chyba pół godziny, przewracałem kartkę po kartce, — nic nie rozumiałem. Nie by, żeby nic, ale bardzo mało. Bo pewno było słów, których jeszcze nie znałem. Więc co chwile prosiłem ojca o wyjaś-

nienie: a co to jest buława, a co brzeszczół? — Tak co chwile. Wyjaśniał wszystko cierpliwie, wreszcie, gdy tego było chyba za dużo, wzięł książkę do ręki, po-

— Ależ to nie dla ciebie! Jeszcze za wczesnie!

I zabrał mi książkę, — i sam zaczął szukać w szafie innej. A ja rozplakałem się, bo chciałem tę czytać. Zostawił mi, ale inną wyszukał i powiedział:

— Gdy ci się sprzykry, weź tę, którą wybrałem.

A ja nauczyłem się jeszcze dość długo, — uparty byłem, ale potem po cichu, odłożyłem się i zabrałem się do tej drugiej. I jednym tchem ją przeczytałem, wszystko bowiem było w niej jasne. A taka była interesująca, że treść jej jeszcze dzisiaj pamiętam. Potem to już zawsze, gdy chciałem nową książkę czytać, szedłem do ojca i wspólnie wyszukiwałem. I prawie zawsze taka książka mi się podobała. Powoli nauczyłem się sam książki wybierać, ale było to trudniejsze i pomnożenie ojcę stale wspominałem i jego rady brałem pod uwagę.

Pamiętam też, że często chodziłem z ojcem na przechadzkę. Najczęściej w pole. Między łanami zboża siliśmy wąskimi ścieżkami, pytałem wtedy ojca o różne rzeczy i chętnie opowiadał o czytanych książkach. Ale dnia tego, o którym chcę wam opowiedzieć, ojciec zapisał mi niespodzianie: „a kto napisał, w pustyni i w puszczy?” — Kto napisał? Jakis pisarz! — Rozesnął się z tego mojego wybiegu. Ale jak się nazywał? Nie wiedziałem. Nie zwracałem na to żadnej uwagi. Najważniejsze dla mnie było, że miałem książkę w ręku i że mogłem czytać. I wtedy ojciec opowiedział mi dużo o Sienkiewiczu. Tak to mówił interesująco, że wiedziałem pisarza jakby żywego. I teraz dopiero, od owego czasu, ważne dla mnie było, kto książkę napisał. Go-rzej, bo chciałem tylko książki Sienkiewicza czytać. A ojciec mówił mi, że nie wszystko jeszcze jest dla mnie, że inne książki tego autora później będą dla mnie zrozumiałe.

Czytałem różne książki. I bardzo dużo. Pozeralem je, — jak to się czasem mówi. Miejsca mniej interesujące pomijałem i kartkę po kartce przewracałem w poszukiwaniu tego najbardziej ciekawego. Zobaczył to raz ojciec. Był zdziwiony. Dlaczego tak? A ja: bo tam tylko odzewach, o trawie, platakach, pszczołach, — nie ważnego. Wziął książkę do ręki. Za-czął głośno czytać to właśnie, co ja opu-

ściłem. Czytał może z kwadrans, — ja słuchałem i wyjął z podziwu nie mogłem: takie to było piękne! A ojciec, gdy skończył, tak do mnie: i co ty teraz? — Cóż, wyznałem, jak było: bardzo ładne. Ojciec się uśmiechnął i tylko tyle mi powiedział: to co wydał ci się nudne, czytaj woho i głośno i staraj się widzieć w wyobraźni, co opisuje pisarz. — Zrobiłem tak i od-tąd czytam w książce wszystko, — od deski do deski, — jak to się mówi często powiedzeniem z dawnych czasów, kiedy książki były oprawiane w deseczki. Mniej teraz książek czytałem, ale uważniej. I myślę, że jest to lepsze. Zwyczaj ten pozostał u mnie na zawsze i dzisiaj dzielę się, gdy mi kto mówi, że książki pozera. Ja pożerzę nie uniem, — uniem tylko czytać.

Śmiał się ze mnie kolega, — na imię mu było Bolek, że ja dwie książki naraz czytam. I była to prawda. Na stole leżał zawsze wielki słownik, taki, w którym były wyjaśnienia wielu wyrazów i były też ilustracje. Korzystania ze słownika nauczył mnie również ojciec. Bo gdy raz zapytał mnie co to znaczy sonet, nie wiedziałem i wtedy to wyjął z szafy wielki słownik i pokazał mi, że wszystkie tam jest wyjaśnione. Tak mi się słownik podobał, że wieczorami przewracałem w nim kartkę po kartce i czytałem jedno wyjaśnienie po drugim. Zrobiłem sobie nawet własny słowniczek: w zeszyciku notowałem i wszystkie wyrazy, których nie rozumiałem i wyjaśnienia.

I jeszcze jedno, czego mnie ojciec nauczył. Czytałem powieść, którą powinno znać: „Lato beków ludzi”. Marii Rodziewiczówny. Książka bardzo mi się podobała i czytałem ją jeszcze potem wiele razy. Wtedy po raz pierwszy. I opowiadałem oju o wszystkim co mnie interesowało. Przez kilka dni nie było w domu innych rozmów, jak tylko o Rosomaku, Zurawiu, Panterze, Jeżu Tupciu i o wszystkim, co w powieści opisane. Gdy skończyłem czytać, ojciec zaproponował mi: a możebyś coś o tej książce napisał?

— Ale co?

— Może o tym, co ci się podobalo najbardziej? — Napisałem o Jeżu, na którego wołali Tupcio. Dużo napisałem. Pewnie trzy albo cztery strony. Ojciec to przeczytał, poprawił błędy i powiedział, że chyba za dużo, mniej też by wystarczyło. Więc potem już mniej pisałem. Ale któregoś dnia ojciec mnie namówił, żebym nie tylko o tym napisał, co mi się najbardziej podoba, ale i o tym, co mi się nie podoba. A mnie się

wtedy wszystko podobało, więc nie wiedziałem, co napisać. Raz jednak nie podobalo mi się, że w książce było opisane jak dzieci wymyślały się z kaleki, — upadł na ziemię i nie mógł się podnieść a nikt go nie podniósł. Nie podobało mi się to i zaraz o tym napisałem. Zauważyłem później, że o każdej książce można dużo napisać, tylko trzeba czytać wolno i uważnie. Polinowałem sobie zeszycik w rubryki i takie rzeczy wypisywałem: najpierw imię i nazwisko autora, potem krótką treść, potem to wszystko, co o książce myślałem, — że mi się podobała albo nie podobała, co było najbardziej. Później dodałem jeszcze jedną rubrykę: notowałem w niej myśli, takie krótkie zdania, aforyzmy. Miałem z tym małe kłopoty, bo raz podkreśliłem taką myśl w książce, żeby ją potem łatwiej znaleźć.

Książka była z publicznej wypożyczalni. Bardzo się na to pogniewał ojciec. Powiedział wtedy, że gdyby każdy podkreślał, książka byłaby po pewnym czasie tak brzydka, że trzeba by ją z czytelnymi wycofać. Więc już nie podkreślałem w książkach z wypożyczalni nigdy. Paznokciem to raz podkreśliłem, ale tylko raz, bo sam od razu wiedziałem, że to było bardzo brzydki. Ojciec mi wtedy doradził, że- bym przy czytaniu książki miał karteczkę dla wynotowania stron, do których chcę zajrzeć po przeczytaniu. Rada była dobra i tak się do tego przyzwyczaiłem, że do dnia dzisiejszego na kartce notuję strony.

W taki to sposób, moja Hanecko, uczyłem się czytać. Ojciec mi pomagał, a ja według jego wskazówek coraz lepiej czytałem. Ciekawy też jestem, czybyś teraz umiała sama napisać takie, — no, jakby to nazwać? — przykazania w czytaniu książek?

Hanecka — Wiem: najpierw trzeba wybrać odpowiednią książkę. Najlepiej, gdy kto starszy doradzi. Ty, tatusiu, będziesz mi zawsze pomagał, — dobrze? A potem: muszę pamiętać, kto książkę napisał. Ja zawsze wiem: „W pustyni i w puszczy” — Henryk Sienkiewicz, „Pan Tadeusz” — Adam Mickiewicz.

Trzeci, co będę pamiętała? — To, że trzeba czytać wszystko, od deski do deski, a co jest bardzo trudne, to czytać wolno i głośno. Czego nie rozumiem, wyjaśnię przy pomocy słownika albo encyklopedii. I będę pisała w zeszyciku notatki o każdej przeczytanej książce, — co mi się podoba i nie podoba; może myśli i piękne wyjątki notuję.

I jeszcze jedno: w czasie czytania będę

mała przy sobie kartkę, na której zanotuję strony, na których znajdują się rzeczy do zapisania. Bo w książce wyżywionej nigdy nie będę podkreślała.

Ojciec: — Jeszcze o jednym zapomnieliś, Hanecko.

Hanecka: — Nie, wszystko już powiedziałam, o czym mi tatusi mówił.

Ojciec: — Zapomniałaś, Hanecko, o tym, że koleżanki namówisz do takiego samego czytania.

Hanecka: — Ależ oczywiście namówię, na pewno namówię. Basie jeszcze dzisiaj, jutro Irce. A może i inne? I wtedy wszystkie będziemy dobrze czytały.



JANUSZ KORCZAK

OLEK

Urywek ze „Sławy“

Koło parkanu, w kącie podwórza, na niskim dachu lodowni, w ciągu całego szeregu wieczorów pobierał Wladek nauki od Olka, a wzamian udzielał mu wiadomości o szkole i nauce szkolnej. Kiedy czytali na zmianę, wszystko szło dobrze. Kiedy zaś wzięli jaką szkolną książkę, gramatykę, albo zbiór zadań — Wladek przekonywał się, jak wszystko źle wiedział, jak mało umie.

— Rzecznik odpowiada na pytania kto? co? Jeżeli żyjący — kto? Jeżeli nie-żyjący — co?

— Więc Napoleon to też rzeczownik?

— Rozumie się, bo go można widzieć.

— A nie można go widzieć, bo umarł.

— No tak, ale na obrazku.

— A na obrazku nie żyje przecie, więc odpowiada na pytanie: co?

Wladek wrzusza ramionami.

— A czy sława to też rzeczownik?

— Sławę można, czy nie można widzieć?

I dlaczego sława odpowiada na pytanie: co? — kiedy sława żyje?

— Sława nie tylko żyje, ale jest nieśmiertelna.

Olek chce być sławnym wodzem i na pewno nim będzie. Olek ma na to sposób, żeby być sławnym: trzeba wieczorem patrzeć na niebo, kiedy są gwiazdy, bo między nimi są spadające gwiazdy. Trzeba uważać, kiedy taka gwiazda spada i prędko powiedzieć:

— Chcę być sławny.

To się spełni.

Można powiedzieć: chcę być bogaty. Ale nie dbać o pieniądze.

— Bogaty żyje, żyje, potem umrze — i już. A sławny — to zupełnie co innego.

W niedzielę byli w czytelnicy — i czekali całą godzinę, zanim ich wywołano; i Wladek zrozumiał, co znaczy polować na książkę.

W szkole, prócz paru uczniów, chłopcy nigdy nie mówili o książkach. A to, co w nich napisane, mówiono się tylko wtedy, kiedy nauczyciel wyrwał do tablicy.

Tu zaś zupełnie inaczej.

— Czy to ładna książka? Co czytałeś? O czym tam się mówi? Znam, nie znasz. Bajka, powieść, wierszyki, życiorysy. Łatwa, trudna książka, w jednym, w dwóch tomach.

Chłopcy brali książki dla siebie, dla braci, sióstr i rodziców.

Olek znalazł tu wszystkich i jego wszyscy znali. Dawał wskazówki, namawiał, odradzał.

— Myślisz, że pani ci da trzy powieści? A inni co będą mieć? Tej książki nie bierz, bo koniec wydarty. Ta strasznie śmieszna. To podróż fantastyczna. Weź tę dla ojca. Sam Wladek nic by nie wiedział.

Olek oddał kartkę z pieczęcią rządu.

— Proszę pani, to nowy chłopak.

Wladek tylko szurgnął nogami i to niezgrabnie, bo go pchali, bo miejsca nie było. Pani wzięła kartkę, zapisała nowego czytelnika.

— A masz dziesiątkę?

— Nie mam, proszę pani.

— To przyniesiesz za tydzień.

— Dobrze, proszę pani.

Wladek się zasmucił.

— A co będzie, jak mama nie zechce dać dziesiątki? — zapytał w powrotnej drodze.

— Nie szkodzi. Ta pani nie żąda. Do tej drugiej bez dychy ani przystąpi. A ta dobra, tak tylko mówi. A zresztą, kiedyś honorowy, to ci pożyczę.

Olek ma posadę w składzie materiałów piśmiennych i zarabia sześć rubli na miesiąc.

— Nie bój się, i dla ciebie znajdę miejsce. Jak dostanę się do księgarni, odstąpię ci moją.

Tego wieczora wszyscy w domu czytali: i ojciec i mama i Wladek. A Mania pokazywała Wicusiovi i Pchelce obrazki i do każdego obrazka z głowy wymyślała powiastkę.

— Tylko pamiętaj, żeby nie zniszczyć — upominał Wladek.

I wieczór prędzej przeszedł, niż wszystkie poprzednie.



LUCYNA KRZEMIENIECKA

O zamku na lodzie i o zimowej przygodzie



Coś tam stuka i puka
w starej norze borsuka
Wśród drzew gęstwy
hen, w lesie
odgłos jakiś się niesie.
A cóż by to być mogło?

To stolarczyk
krasnalek,
nart szykuje trzy pary
małych jakby dla lalek.
Drzewo wybrał najlepsze
to z jesionu górskiego.
Będą narty krasnalków
dobrze niosły po śniegu

W mysiej norze wśród li,
nie brak także hałasu.
Krasnal
w krasnych papuciach
do nart kuje okucia.
Stuku. Puku
młoteczkami
o maleńkie kowadło,
żeby każde okucie
jak najmocniej wypadło.

W norce trzeciej
po krecie
trzeci krasnal
zuch krawiec
szyje zgrabne kubraczki
i trzy pary rękawic.
Szybko miga igiełką,
nożycami podcina
i gotowe
już nowe
trzy narciarskie ubrania.

Teraz pewnie ktoś spyta
boć to rzecz
jest ciekawa
czy się jakaś szykuje
tajemnicza wyprawa?

A tak. Zima królowa,
co ma zamek na lodzie,
na bal prosi krasnala
przy zimowej pogodzie.

A ten zamek jest z lodu
i posadzkę ma srebrną.
Trudna droga do niego,
lecz na nartach
ją przebrną.

Szuru, szuru...
wśród smreków
ścierzynkami wąskimi
już poniknęli krasnale.
Spiesząmy szybko za nimi.

Śniegi błyszczą
wiatr świszczę,
aż dech w piersi zapiera.
Oto zamek na lodzie,
służba bramę otwiera.

Śnieguliczki
siostrzyczki
do krasnalków wyskoczą.
Zima rzecze laskawie:
— Zatańcujcie ochotczo.
Niech się każdy zabawi,
i zaśniowa, i podje.

Strumyk będzie nam
brzęczał
najpiękniejsze melodie.



Któżby z nas
nie słuchał
zimowego wezwania!

Już też trójka krasnal
śnieguliczkom się kłania.
Strumyk brząknął:
kłam, kłam, kłam...
lodowego walczyka.
tak się lekko pomyka!

Jak się ładnie bawiono,
zapytajcie krasnala.

Zima kwiatki lodowe
rozzucała po sali.
Potem przynieść kazala
tort na tacy lodowej,
tort ze śniegu ubity,
rodny zimny - królowej

Przy tym torcie,
przy śpiewach
zastał gości poranek.
Wtedy zima krasnalom
pożyczyła swych sanek.

Oto jada do domu
rozchawieni, szczęśliwi.
Zając wyszedł z kotlinki
i ogromnie się dziwi.
— Gdzieście byli i po co,
czy wracacie z daleka?
Niechże
biedny szaraczek
na oś, powiedz
nie czeka.
— Ano byliśmy w zamku
u królowej imci zimy.
Możesz się tam
też wybrać,
my ci narty zrobimy.

— A to zrobiez
dwie pary!
Ja i syn mój szaraczek
chętnie pomknę
w dal śnieżną
dziwny zamek zobaczę.

Coś tam stuka i puka
w starej norze borsuka.
W norze kreciej
i mysiej
też robota wre dzisiaj.

O! już narty gotowe,
tylko kijki brać w ręczki.
Wyruszają już w drogę
dwa szaraczki zajęczki.
Szuru, szuru po śniegu
z góry na dół
mkną zwinnie.

Czy też zima królowa
raczy przyjąć
gościnnie?

Nagle ciepły
wiatr powiał,
odwilż przyszła z oddali.
Podjeżdżają szaraczki,
patrzą: zamek się wali!
Nikną srebrne
posadzki,
nikną ściany
z kryształów.
Trzeba wracać do domu,
coż nam więcej zostało!

Smutno było
zajęczkom
wracać po tej przygodzie,
lecz wiadomo:
niertwałe,
niekne zamki na lodzie!

